

W SIODLE — BLIŻEJ NIEBA

Argentyna to przestrzeń. Bezkraina, różnorodna, dzika, z niebem na wyciągnięcie ręki. Przestrzeń, którą najlepiej przemierzać wierzchem, gdyż koń jest w Argentynie wszechobecny i stanowi podstawę kultury oraz gospodarki tego kraju. Być w Argentynie i nie poznać kultury „gauchos”, argentyńskich kowboi, to jakby nigdy nie dotrzeć w tamten rejon świata. Narodowy poemat, argentyński odpowiednik „Pana Tadeusza”, opiewa gaucza o imieniu Martin Fierro, to gauczosi walczyli o niepodległość Argentyny, pracy konia do dziś nie zastąpi żadna maszyna, a konie kreolskie (*criollo*), które zrodziły się w Ameryce Południowej, to jedna z najbardziej wytrzymałych ras świata. Ja bym do tego dodała jeszcze — jedna z najbardziej łagodnych i dobrze ułożonych.

Od dawna jestem zakochana w Argentynie, w jej kulturze i naturze, a konie i kultura gauczów miały w tym swój duży udział. Wszystko zaczęło się w mojej Stajni, poznałam tam Magdę, ona z kolei poznała w Argentynie prawdziwego gaucza — Dario, zakochali się, ona się tam przeprowadziła. Odwiedziłam Argentynę kilka razy, a dzięki nim wielokrotnie mogłam ją podziwiać z siodła. Dario swoje wielkie doświadczenie w pracy z końmi przekuł w organizację w różnych regionach swojego kraju rajdów konnych, z hiszpańska nazywane „cabalgatami”. Dziś podążają za nim na czterech kopytach ludzie z całego świata, ale nadal są to kameralne grupy, ścieżki rajdów biegną przez bezludne i dziewicze tereny, a Dario oferuje spotkanie z autentyczną kulturą gauczów. Nic nie jest udawane i robione pod kolorowe obrazki z folderów, doświadczenie takiej cabalgaty jest prawdziwe i silne, tak jak otaczająca natura.

Powierzchnia Argentyny pomieściłaby prawie dziewięć Polsk. Każdy region to odmienna kolorystyka zarówno krajobrazu, fauny i flory, ale też zdobień ubioru gauczów czy potraw na argentyńskim ruszcie — „asado”. Każdy region zasługuje na osobną opowieść, a skoro już ta opowieść zaczęła się od zakochań, przedstawię tu północno-zachodnią część Argentyny — Salte, o której się mówi tam: „Salta tan linda, que enamora” („Salta tak piękna, że rozkochuje”). I rzeczywiście nie sposób nie ulec czarowi jaki rzuca na każdego podróżnego uroda tej prowincji. Już sama trasa, którą trzeba pokonać samochodem zanim dojedzie się do miejsca wyruszenia na konną wyprawę, składa obietnice niesamowitych widoków, które muszą się kryć za górami w kolorze ochry, w ceglanych, ziemistych, antracytowych, płowych, rdzawych i patynowych odcieniach, nie bez powodu nazywanych wzgórzami o siedmiu kolorach.

Trasa 5-dniowego rajdu konnego przebiega po górach i dolinach rozciągających się między miastami Salta, Cafayate i Cachi. Obleczeni w czerwono-czarne, typowe dla tego regionu poncza w kolorze salteńskiej flagi, przecinamy wyschłe koryta rzek i półpustynne tereny Doliny Calchaquí (*Valles Calchaquíes*) zamieszkane jedynie przez wiatr i kondory. I duchy, dobre lub złe, oraz inne legendarne stworzenia, zrodzone na tym obszarze, na którym przez stulecia zmieszały się wierzenia indiańskie z chrześcijańskimi. Północ Argentyny to chyba najbardziej „zaczarowany” region kraju. Rodrigo — jeden z naszych lokalnych przewodników pokazuje nam z daleka grotę Salamanki, diabelskiego stworzenia, które mamy obietnicami bogactwa. Noc spędzona w pobliżu tej groty będzie też jedyną nocą spędzoną bez śpiewów i dźwięków gitary, które mogłyby wywołać niepożądanego diabła. Inne, bardziej namacalne skrawki obecności indiańskiej na tej ziemi pokazuje nam Dario, który co jakiś czas zeskakuje z konia i nagle spośród kurzu i kamieni wydobywa kawałki, ponoć liczącej setki lat, połtuczony ceramiki, niczym nasze poncza pokrytej czarnymi wzorami. I znowu, kto chce niech wierzy, ale pewne jest, że niektóre odcinki trasy rajdu konnego pokrywają się z „El Camino del Inca”, wielką drogą Inków, których imperium na dwa wieki przed przybyciem konkwistadorów rozciągało się na prawie całym andyjskim obszarze Ameryki Południowej. Jeszcze zanim przybyli Hiszpanie i ich konie na te tereny, te niewidoczne dla nas ścieżki przemierzali o własnych siłach inkascy żołnierze, handlarze czy kapłani. Dario zostawia skrawki dzbanów i waz, tam skąd je podniósł, nie chce nic zmieniać w tym miejscu, gdzie czasami nic się nie zmienia od setek lat.

Tylko kaktusy „cardones” — kolejny symbol tego regionu Argentyny — rosną co raz wyżej, powoli, kilka centymetrów na rok, żeby osiągnąć nawet ponad 10 metrów wysokości i dożyć 300 lat. Sły-

szałam pewną legendę, bardzo piękną i smutną, i może dużo mówiącą o charakterze tamtejszych ludzi, potomków Indian, pokornych, cichych i tak blisko związanych z naturą. Według legendy kaktusy byłyby uśpionymi Inkami, którzy strzegą dolin i wzgórz, żeby już tego terytorium nigdy nie nawiedzili kolejni konkwistadorzy. W czasach europejskich podbojów czekali na rozkaz od wodza Inków, żeby zaatakować wroga z zaskoczenia, jednak ani Inka, ani jego posłannicy — złapani i zabici po drodze — nigdy się nie zjawili. Wierni i dzielni Indianie czekali i czekali, tak długo, że aż zlitowała się nad nimi Pachamama — Matka Ziemia, która pozwoliła im zapuścić korzenie i uzbroiła w kolce, żeby nigdy nikt nie zakłócał ich kaktusowego letargu.

Kluczemy między uśpionymi lasami tych kaktusów o najprzeróżniejszych kształtach, pobudzających wyobraźnię, gdzieś wylania się zaciśnięta pięść, gdzie indziej dłoń z wysuniętym środkowym palcem, ale ani takie gesty kaktusów, ani ich długie kolce nie zniechęcają nas do przyglądania się im z bliska, a największą uwagę przyciągają ich kwiaty i owoce. Za pierwszym razem w Salcie byłam w listopadzie, czyli w czasie południowoamerykańskiej wiosny, kiedy jedynie aparatem fotograficznym wykradaliśmy kaktusom ich delikatne, blad różowe i białe kwiaty. Za drugim razem, w marcu, czyli na jesień, wykradaliśmy już za pomocą patyka dojrzałe owoce, lepkie i usiane czarnymi pestkami niczym małe mrowiska, zresztą często pełne prawdziwych mrówek, w smaku trochę mdłe, trochę słodkawe i trochę egzotyczne. Zatem jeśli chodzi o kaktusy, to estetom polecam przyjechać na rajd konny do Salty wiosną, smakoszom jesienią.

Kolejna dolina na naszej trasie — Dolina Lermy (*Valle de Lerma*) pełna soczystej i bujnej zieleni — też się zmienia w zależności od pory roku, po ciepłe, letniej porze deszczowej trawy nagle sięgają pasa, a gauczo na przodzie grupy musi torować maczetą drogę między zaroślami, kwitnącymi lub już przekwitłymi, obfitującymi za to we włochate kokony, z których narodzą się niedługo kwiaty świata zwierzęcego — motyle. Wchodząc na wzgórza zanurzamy głowy w chmurach, wychodzimy ponad nie, żeby za chwilę znowu opaść we mgłę. Jednego dnia, nawet w ciągu jednej godziny, przebieramy się od krótkiej bluzki, po sweter, polar, kurtkę i ponczo. To w końcu kapryśne góry, i to dość wysokie. W znacznej mierze trasa wyprawy biegnie na wysokości ponad 3000 m n.p.m., ciągle trzeba się gdzieś wspinać albo schodzić, oczywiście na końskim grzbiecie. W sakwach przy siodle niesiemy te kilka niezbędnych przedmiotów osobistych, muł za to jest objuczony tym co jeszcze bardziej niezbędne — winem i prowiantem. Cały rajd przebiega w powolnym rytmie stępa, który pozwala nasycić oczy i duszę zapierającym dech krajobrazami, a co jakiś czas należy — przy stromej wspinaczce ku górze — dać szansę i koniom złapać ten oddech, i zatrzymać się, choć w równej mierze co krajobraz wprawia w zachwyt wytrzymałość i kondycja fizyczna koni oraz ich umiejętność poruszania się w skalistym, pustynnym i pokrytym ostrymi krzewami terenie. Za to z ludzką wytrzymałością na takiej wysokości może być różnie, dlatego najlepiej brać przykład z tubylców, których policzki są wypełnione przeżutymi liśćmi koki, najskuteczniejszym remedium na chorobę wysokościową czy zmęczenie. Jej lekko gorzki, cierpki smak stał się nieodłącznym towarzyszem mojej konnej wędrówki po Salcie.

Inny gorzki smak Argentyny to „yerba mate”, rodzaj „herbaty” bogatej w minerały i silnie pobudzającej, parzonej w specjalnym naczynku. Kiedy dojeżdżamy do kolejnej chatki, rodzaju schronienia pośród gór dla przeganiaczy bydła, miejsca naszego noclegu, po długich godzinach w siodle następuje czas zatrzymania się, wspólnego, powolnego spędzania czasu, tak ważnego dla Argentyńczyków i chyba każdego narodu południa. Przy zachodzie słońca mate i wrażenia z minionego dnia krążą między nami z ust do ust, a gauczosi rozsiodłowują konie zdejmując kolejne warstwy skór krowich, owczych, i pięknie zdobionych „siodel”. W lepiance za naszymi plecami, wykonanej z typowej w tym regionie suszonej na słońcu cegły „adobe”, niby jest prąd i prowizoryczna łazienka, ale naprawdę jesteśmy i czujemy się z dala od wszelkiej cywilizacji, wydaje się, że w takich miejscach na Ziemi nic się nie zmieniło od setek lat, tam ludzie żyją w rytm natury. Oraz muzyki. Wieczorami towarzyszy nam gitara i gauczoskie piosenki z różnych regionów kraju, po kilku dniach już każdy ma swoją ulubioną z powtarzającego się repertuaru towarzyszących nam gauczów.

Jednak zanim rozbrzmieje muzyka i nadciągnie noc ze swoim niesamowicie rozgwieżdżonym niebem półkuli południowej, rozpalany jest ogień, podstawa kuchni argentyńskiej. Kiedy nasz nocleg

wypada w indiańskiej wiosce kolację przygotowują jej mieszkanki, innym razem jeden z lokalnych gaucho lepi perfekcyjne empanady, rodzaj pieczonych pierogów, i uczy nas argentyńskiego sposobu ich zawijania, ale przede wszystkim Dario w swoim żywiole, i żwawo niczym sam ogień odprawia nad ogniskiem „czary” asadora, czyli osoby przygotowującej mięso z rusztu. Zdrowa, słynna argentyńska wołowina, jagnięcina, soczyste cebule z popiołu, a do tego oczywiście wino, regionalne, z północy kraju, gdzie istnieją jedne z najwyższych na świecie położonych winnic, przez co słodycz w winogronach jest zwielokrotniona bliskością słońca i nagłym spadkiem temperatur nocą. My też je odczuwamy, ale chłód zupełnie nam nie przeszkadza, jesteśmy rozgrzani winem, śpiewem, ogniem i ciągle nowymi wrażeniami towarzyszącymi wyprawie w ten dziewiczy świat.

Jest to doświadczenie, które poleciłabym każdemu, bez względu na umiejętności jeździeckie. Te konie naprawdę lepiej wiedzą od jeźdźca gdzie iść i jak iść, a emanująca spokojem i siłą natura, i to kilkudniowe, zupełne oderwanie się od rzeczywistości zachwyca w równej mierze zawodowego jeźdźcę, który może doświadczyć innego wymiaru jazdy konnej, jak i zapoznać się z niesamowitą, inną kulturą jeździecką, a także zupełnego amatora, który z końmi ma tyle wspólnego, że lubi kontakt z naturą. Oczywiście pięć godzin w siodle, choćby i ciągle w stępie, to co innego niż pięć godzin na krześle w biurze, ale końskie grzbiety wyściełane puchatymi skórami są daleko bardziej wygodne niż biurowy stołek, a perspektywy rozpościerające się z siodła daleko bardziej zajmujące. Jeszcze zupełnie nieznana w Polsce, wielobarwna kulturowo i krajobrazowo Salta zachwyci każdego poszukiwacza — nie tylko konnych — przygód. Warto tam pojechać choćby dlatego, żeby zrozumieć co to znaczy wskoczyć na konia, i dotknąć nieba.

Julia Kempa